

**Barakah w kontekście organizacji przestrzeni jest teatrem kameralnym. Zespół gra na małej scenie, tak uruchamiając swoje ciała, żeby w odczuciu widzów były bardzo namacalne. Aktorzy szepczą nam nad uchem, ocierają się o nas faldami strojów, grają ponad naszymi siedzeniami. Nastrój starych, kazimierskich piwnic potęguje poczucie grozy. Muzyka zwielokrotniona i żywa odbija się od ścian i jeszcze głośniejsze rozbrzmiewa w naszych uszach. Mimo że nie zostajemy włączeni w przebieg akcji, jesteśmy częścią spektaklu. Stajemy się świadkami tragicznych zmagania żywych z umarłymi.**

Jest ciemno i trochę strasznie. Widzowie są ściśnięci, ale bliskość ciał uspokaja. Wyczuwalne napięcie wzrasta, gdy głos zniekształcony przez głośnik tworzący iluzję oddalenia powoli wypowiada kolejne zdania. Nie wiemy, kto do nas mówi, melodia głosu świadczy jednak o tym, że jest to dorosła kobieta. Słuchamy opowieści o zamykającym się nad nią lustrze wody, o twardych, śliskich kamieniach czy mijających ją ludziach. Jej słowa są przejmujące, wypowiedane trochę z żalem, trochę mechanicznie, czasem nawet z zastanowieniem. Podczas spektaklu ciągle towarzyszy nam pytanie o to, do kogo należy ten głos.

Po chwili przestrzeń się rozjaśnia i widzimy scenę: ojciec z córką – elegancki Żyd z promienną panną młodą siedzą przy drewnianym stole. W pomieszczeniu jest ciasno, co jest szczególnie wyczuwalne przy każdym bardziej zamaszystym geście czy ruchu. Wreszcie pojawia się zalotnik i cała nasza uwaga kieruje się na tych troje bohaterów, prowadzących dialogowy majstersztyk.

Akcja nie jest skomplikowana – przyszły pan młody, osobnik w średnim wieku, stara się o rękę panny, która wraz z ojcem trzyma go w niepewności, ciągle odwlekając datę wesela. Wszystko w stylu starego, dobrego Bałuckiego do momentu, kiedy okazuje się, że domownicy czekają na decyzję zmarłej żony-matki, która zamiast po bożemu siedzieć w grobie rezyduje w salonowej szafie. Wszystkich późniejszych wydarzeń doświadczamy ze świadomością absurdu pozycji matki. Kolejne wypadki naznaczone są tragizmem – ojciec i córka w swoich codziennych rytuałach (grach, zabawach słownych, rozmowach ze zmarłą) są niezdolni do nawiązania trwałych relacji ze światem zewnętrznym. Z kolei przybyszem z zewnątrz jest adorator, który stanowi obiekt zarówno ich kpin, jak i pewnego uzależnienia. Przyzwyczajeni do jego codziennych wizyt odnajdują w nim poczucie bezpieczeństwa. W mężczyźnie natomiast wzrasta pożądanie, a kończy cierpliwość. Próbuje bezskutecznie sforsować bramę do ich świata, zapętla się w nieodwzajemnione uczucie. Mimo że pozornie jest najsłabszą postacią, jako jedyny wybiera życie – trudniejszą z możliwych dróg, jak diagnozuje spektakl.

Koniec jest piękny, subtelny i ostry, jak strzał z bicia. Wrywa nas z cichego zadowolenia, w jakie popadliśmy, śledząc fabułę. Dramat jest na wskroś otwarty w formule, w zakończeniu pozostawia nas z pytaniami, na które sami nie możemy znaleźć odpowiedzi. Wiemy już, do kogo należał głos w początkowej scenie, i jest nam z tą świadomością bardzo ciężko.